

GEORGES MEIRS.

# Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

8

Chartton uśmiechał się tryumfująco. Widocznym było, że zadowolony był ze siebie. Ja sam uczułem nagle wielkie uznanie dla jego strategicznych zdolności, które od pierwszego kroku pozwoliły nam odkryć schronienie człowieka, tak chciwie przez nas poszukiwanego. Bo przecież ten wspólnik Ludovica Marmont działał sam we własnej osobie więcej, niż nieuchwytny szef całej bandy. On to nłatwił zamordowanie d'Orwalda i przyczynił się do usunięcia jego zwłok, a następnie wykradł papiery profesora Schoettena i ulotnił się sam w niewiadomym kierunku. Zwróciliśmy się od okna ku Charttonowi i Tharps już zamierzał mu zadać jakieś pytanie, kiedy hałas jakiś, dobiegający z oświetlonego okna, skierował naszą uwagę w tę stronę. Ktoś usiłował otworzyć to okno i w tym człowieku rozpoznaliśmy wszyscy markiza Santa Cruza. Już teraz nie mogło być najmniejszej pomyłki, bo twarz jego ujrzeliśmy w jasnym świetle, bijącym z pokoju. Musiał i on nas dostrzedz, bo nagle odskoczył od okna i rozpaczliwym ruchem wznosił ramiona do góry.

Równocześnie światło w pokoju zagasło i usłyszałem Charttona mówiącego niespokojnie:

— Przyszliśmy w samą porę! Jeszcze chwila, a cały nasz trud byłby daremny.

— Co teraz zrobimy? — zapytałem.

Chartton w odpowiedzi podszedł do najbliższych drzwi, wyjął z kieszeni pęk kluczy i haczyków i w mgnieniu oka otworzył zamek.

Huxley i ja skoczyliśmy naprzód, ale Tharps zatrzymał nas i stanął w progu.

— Spokojnie, spokojnie — wyrzekł stanowczym głosem. — Panie Chartton, proszę wejść pierwszy.

I to, co nastąpiło później, było tak fantastyczne i nieoczekiwane, że teraz jeszcze, kiedy o tem myślę, uwierzyć mi w to nie łatwo. Jednym szalonym skokiem Chartton, potrącając Tharpsa, znalazł się w ciemnym zupełnie pokoju i odniosłem wrażenie, że mój przyjaciel, który widocznie nie był przygotowany na tę niespodziankę, całą siłą starał się pochwycić go i zatrzymać. Nie udało mu się to jednak, bo zaklął głośno i skoczył za nim do środka.

Przeczuwając instynktownie coś złego, pospieszyłem wraz z Huxleyem za nim.

W tej samej chwili długi suop światła padł z ukosa na pokój. Pochodził on z pokoju, znajdującego się obok, którego drzwi ktoś nagle otworzył. W jasnej tej smudze ujrzeliśmy Tharpsa z wyciągniętą do góry ręką i równocześnie rozległ się donośny odgłos dwóch strzałów. Z za drzwi zaś, już teraz zamkniętych, dobiegł nas wybuch ironicznego śmiechu i szeptu stłumione.

Przez dłuższą chwilę Tharps, Huxley i ja dobiegaliśmy się z wściekłością do drzwi zamkniętych. Ale wysiłki nasze nie odniosły żadnego skutku.

— Zadrwiono sobie z nas! — zawołał wkońcu Tharps, dysząc ciężko. — Ach! kanalie! Gdybym tak teraz którego pochwycił w ręce!

Zapalił zapalnik i podszedł do drzwi, którymi weszliśmy.

— Zamknięte! — rzucił przez zaciśnięte zęby.

— Co mówisz? — zawołałem zdumiony, podchodząc spiesźnie do niego.

— Ładnie nas urządzili! Co?

— Ależ to niemożliwe!

— Zapominasz, że mamy do czynienia z Ludovicem Marmontem — odparł poważnie Tharps.

— Przy pomocy zaświeconej zapalniczki szukał czegoś przez chwilę na podłodze, a kiedy się podniósł, ujrzeliśmy w jego ręce dwie gilzy od wystrzelonych naboju.

— Gdybym chociaż trafił był którego — szepnął ze złością.

Teraz dopiero spostrzegłem, że Charttona niema między nami.

Jasne teraz było, że on to nas wprowadził w zasadzkę. Przypomniałem sobie ostrożność, podjętą przez mojego przyjaciela i rozkazy wydane, aby Chartton pierwszy wszedł do pokoju i zrozumiałem, że do ostatniej chwili nie był pewnym tego nowego sprzymierzeńca, naslanego nam przez dobrodusznego Huxleya.

Ale napróżno usiłowałem zrozumieć obecność markiza da Santa Cruza w tem miejscu.

Drzwi pokoju, w którym nas zamknęto, były

umocnione sztabami żelaznymi, zarówno jak i okna. Niepodobieństwem było stąd się prędko wydostać.

Wiliam Tharps nacisnął lampkę elektryczną, wyciągnął z kieszeni i przy tem błędem oświetleniu przyglądał się ze zmarszczoną brwią kulom trzymanym w ręce.

Najwięcej zdumionym z nas trzech był zapewne Huxley. Biedak nie mógł pojąć, w jaki sposób daliśmy się wciągnąć w zasadzkę, urządzoną przez Charttona, człowieka, którego obdarzał pełnem zaufaniem. Zmieszany i zgnębiony usiłował tłumaczyć się przed Tharpsiem, lecz ten natychmiast przerwał jego wywody.

— Niepotrzebnie się tłumaczysz, mój kochany — rzekł, kładąc rękę na ramieniu ajenta. — Przychodząc tutaj, wiedziałem, co nas spotka.

Huxley zaskoczony temi słowami nie wiedział co mówić.

— Jakto? — rzekł po długiej chwili milczenia — Pan wiedział, że Chartton...

— Zdradzi nas — dokończył Tharps. — Tak, mój kochany, wiedziałem o tem, a właściwie domyśliłem się. Stało się to w chwili, kiedy opuszczaliśmy restaurację i rozeszliśmy się, ty z Charttonem, ja z moim przyjacielem, aby się zejść w kawiarni „pod Czerwonym Królikiem“. Odtąd zacząłem podejrzawać twojego protegowanego.

— Czy być może — zdziwił się Huxley, cofając się ze zdumieniem. — A jednak przyszedł pan na umówione miejsce schadzki.

— Właśnie dlatego przyszedłem — rzekł dobitnie Tharps.

— Nie rozumiem pana, panie Tharps.

Detektyw uśmiechnął się niedbale.

— Przyznaję jednak, — zaczął znowu — że nie spodziewałem się, iż pozwolę się podejść w tak głupi sposób. Przez cały czas obserwowałem ptaszka i trzymałem palec na cynglu mojego „Webley'a“, z którym się nigdy nie rozłączam. I gotów byłem w każdej chwili zagrać w otwarte karty. Ale Chartton posłużył się sztuczką, której przewidzieć w żaden sposób nie mogłem.

Tharps, mówiąc to, wyciągnął papierosa i zapalił go najspokojniej, tak, jak gdyby znajdował się w swoim gabinecie.

— Wiedziałem tylko jedno na pewno, o co mogłem się założyć, że ten Chartton tu nas przyprowadzi, a mnie o to tylko na razie chodziło, bo chciałem tu spotkać zbiegów z pensjonatu „Donay“.

Podziwiałem w duchu zimną krew i równowagę umysłu Tharpsa.

— Czy dla tej pewności powiedziałeś mi przed godziną, kiedy opuścił nas ten nieznajomy człowiek, który rozmawiał z tobą, że nic ci nie jest w stanie przeszkodzić w dzisiejszej ekspedycji? — zapytałem ciekawie?

— Dlatego — odparł Tharps. — Rezultat jednak, niestety, okazał się niezgodnym z moimi nadziejami.

Oddalił się o parę kroków od nas i zamyślił się głęboko. Nieszczęsny Huxley patrzył na niego z pokorną bezradnością.

— Jakże my się wydostaniemy stąd, panie Tharps? — zapytał nieśmiało.

Tharps zwrócił ku nam twarz już pogodną i uśmiechniętą.

— Obawiałem się tej zasadzki — odrzekł — i uzbroiłem się przeciw niej.

— W jakiż sposób? — zawołałem zdumiony, odgadywając, że Tharps już kombinuje jakiś plan ra tuuku.

— W ten sposób, iż kazałem jednemu z moich agentów iść krok w krok za nami i że zapewne on wie obecnie, gdzie się znajdujemy — i, jak przypuszczam, najdalej za godzinę dom ten otoczony zostanie, a my wydostaniemy się na wolność.

— Oh! — westchnął ciężko Huxley — Gdyby słowa pana ziściły się!

— Zdaje mi się, że tracisz wiarę w siebie i w nas, Huxleyu! — rzekł Tharps, patrząc mu surowo w oczy — To źle, mój kochany! Myśmy z moim przyjacielem już w gorszych byli sytuacjach — a to śmieszne uwięzienie nas nie może mnie z równowagi wyprowadzić. — Jednej tylko rzeczy żałuję gorąco, że pozwoliłem Charttonowi uciec wraz z jego wspólnikiem.

— Czy pan mówi o markizie hiszpańskim, panie Tharps.

— Oczywiście. I nie mam nadziei spotkania się z nimi przed naszym stąd odejściem.

Huxley zaklął głośno.

— Gdybym był mógł przewidzieć, że ten człowiek należał do bandy Marmonta! Byłbym ręczył za niego, jak za siebie samego! A to kanalia! Tak mnie podejść zdradziecko! Nie radzę mu stanąć więcej na mojej drodze.

— Spokoju, spokoju. Huxleyu! Gniew twój tu nic nie zmieni! — zauważył Tharps — Opowiedz mi lepiej, w jaki sposób doszedłeś do znajomości z Charttonem. Według mojego obliczenia, mamy jeszcze przed sobą dobrą godzinę czekania. Skrócisz nam ją, opowiadając o tym przeklętym Charttonie.

## Podpis Marmonta.

Huxley, zrezygnowany i uspokojony trochę zachowaniem się mojego przyjaciela, odetchnął głęboko i rozejrzał się po pokoju.

— Do dyabła! — mruknął — Zeby chociaż nam byli tu zostawili krzesło jakie, albo ławkę...

— Obejdziemy się doskonale bez tego — odparł Wiliam, siadając na podłodze — Radzę wam to samo uczynić, bo może niedługo sił naszych potrzebować będziemy. No, mów Huxley, jakże to było z tym Charttonem.

— A no, — zaczął ajent, siadając obok Tharpsa — poznałem go w tym czasie, kiedy to pracowałem na rachunek Sretera w sprawie okradzenia willi majora Hurley'a. Chartton przybył do Francji z rekomendacją londyńskiego detektywa i tu spotkałem się. Zdawało mi się, że był dobrze poinformowany o sprawcach tego włamania i działał z pewnością siebie i znajomością rzeczy, która mi się bardzo podobała. — Pomimo tego widziałem go wszystkiego dwa razy, ale kiedy pan, panie Tharps, wspominał mi o indyjskim pierścieniu, pomyślałem zaraz, że Chartton może być nam bardzo pomocnym, bo znał dokładnie wszystkie kosztowności skradzione majorowi i raz nawet wspominał mi, że pomiędzy nimi znajduje się stary pierścień, wielkiej wartości artystycznej. Któż mógł przypuszczać, że on sam należał do tej szajki?

— To pewne, — zaśmiał się mój przyjaciel — że mając do pomocy takiego ptaszka, biedny Sreter nie mógł łatwo dojść do dobrego rezultatu.

Rozmawialiśmy na ten temat jeszcze czas jakiś, zdenerwowani i niespokojni, baczni na każdy szmer, dobiegający z domu. Przymuszałem się, aby pozornie zainteresować się opowiadaniem Huxleya i nie zdradzić się z niepokojem, wzrastającym z każdą chwilą.

Minuty mijały, a obiecana przez Tharpsa pomoc nie nadchodziła. Zaczęłem już nawet tracić nadzieję co do tej bardzo problematycznej pomocy i zniechęcenie silne zastąpiło pierwotną moją wiarę i energię.

Tharps milczał, paląc papierosa, a myśli jego nie musiały być również bardzo pogodne, bo od czasu do czasu zrywał się z podłogi i nerwowym krokiem przebiegał pokój. Po jakimś czasie uczułem dziwną ociężałość i niemoc rozchodzącą się po całym moim ciele, lękałem się jednak zdradzić się z tem uczuciem przed moimi towarzyszami, aby nie powiększyć ich zdenerwowania.

Drzwi i okna sali, w której uwięziono nas, musiały być szczerze zabezpieczone, bo żaden głos, czy szmer nie dochodził do nas. Myślałem nad tem, w jaki sposób zbawcy, na których tak oczekiwałem, będą mogli się dostać do tego pokoju, lub przynajmniej dać znać o swojej obecności. My zaś z naszej strony nie mogliśmy przedsięwziąć żadnych kroków dla uwolnienia się.

Rozmowa, dosyć ożywiona z początku, zaczęła się rwać. Zauważyłem, że Huxley, który jeszcze niekiedy rzucał jakie słowo, wyrażał się z trudnością, jak gdyby coś paraliżowało dźwięk jego głosu.

Ja zaś czułem w nogach swoich niemoc coraz większą, przechodzącą w ból tępy. W pierwszej chwili wziąłem to na karb zmęczenia; powstałem z podłogi, aby rozruszać się trochę, ale w żaden sposób nie mogłem krokiem naprzód postąpić. Nogi ugiwały się podemną, pozbawione czucia i odporności.

Równocześnie zauważyłem, że i moi towarzysze byli pod tem samem wrażeniem. Upłynęło jeszcze parę minut. Usiłowałem całą mocą woli opanować się i rozumować logicznie, pomimo, że w głowie szumiało mi jak po wypiciu butelki mocnego wina. Walczyłem jeszcze czas jakiś z ogarniającem mnie omdleniem, wkońcu straciłem zupełnie przytomność umysłu i odtąd nie wiedziałem, co się dalej działo. Kiedy otworzyłem oczy, znalazłem się w pokoju wytwornie umeblowanym i bardzo jasno oświetlonym. Długa chwila upłynęła, zanim zrozumiałem, że światło to pochodziło od słońca, bijącego silnymi promieniami w zamknięte okna. Leżałem jeszcze czas jakiś, czując, że przytomność powraca mi zupełnie. Próbowałem poruszyć się na łóżku. Z dawnej niemocy i ociężałości nie było już śladu, pozostało tylko lekkie osłabienie. Zerwałem się więc z łóżka i pobiegłem do okna, chcąc się przekonać, gdzie się znajduję. Ujrzałem park zalesiony gęstymi drzewami i trawniki zielone, rozciągające się daleko. Czyżbym